

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 21 października 1916 roku.

№ 43.

## OD REDAKCYI.

W przyszłym tygodniu rozpoczynamy druk nowej powieści Alfreda Konara p. t. „KARYERY“.

H. Jelenkiewicz.

NOWELA.

## Niepowodzenie Pigmaliona.

2

II.

Któregoś popołudnia, a było to w piątek, Antoni dłużej, niż zwykle, stał przed otwartą szufladą z krawatami, nie mogąc się zdecydować na wybór. Wreszcie wyjął zielony w białe groszki i zawiązał go z całą starannością i nie bez poczucia sztuczności. Ubrał się w kamizelkę perłowego koloru, wspaniale skrojone *cut'away* i zatrzymał się przed lustrem, z zadowoleniem przyglądając się tej nowej kreacji. Szedł po raz pierwszy na *jour* do państwa Wrotowskich i pragnął uczynić jaknajkorzystniejsze wrażenie.

W kąpiącym od bronzów, empiricowym salonie dominowała pani Wrotowska, z godnością obnosząca stanowisko pani mecenasowej, na kanapie i fotelach siedziało kilka starszych dam, młodzież ugrupowała się dokoła fortepianu, na którym młody pianista walił „Dzwony“ Debussy'ego. Wszyscy mogli rozmawiać głośno i bez obawy, że kanapy, które mają uszy, usłyszą coś.

Antoni stanął w odrzwiach, ażeby nie płoszyć nastroju, ale w tejsze chwili podbiegła doń panna domu, urocza, wytworna i pełna wdzięku Tea. Był jej oficjalnie przedstawionym na dobroczynnym raucie, a teraz po raz pierwszy mógł pomó-

wić z nią kilka słów sam na sam. Zglupiał Antoni, co zwykli są czynić mężczyźni w takich okolicznościach i czekał, jakimi słowy odezwie się bóstwo.

— Lubi pan Debussy'ego? Ja ubóstwiam, zwłaszcza z drugiego pokoju. Chce pan go posłuchać w skupieniu?

I nie czekając odpowiedzi, która mogła być tylko potakującą, wprowadziła Tea Antoniego do rokokowego buduaru, starannie drzwi za sobą zamykając.

— Ona się kompromituje — pomyślał Pigmalion — dla mnie...

Panna wskazała mu miejsce na kozetce obok siebie i zagaiła rozmowę, na temat ogromnie inteligentny, Antoni, który wiedział, że żaden aforyzm Walt Withman'a nie zrobi tak dodatniego wrażenia, jak komplement, rzekł na pół do siebie:

— Jak piękny pantofelek — nie powiedział: nóżka, bo byłoby to samochwalstwem.

Tea uśmiechnęła się figlarnie:

— Mówił mi przed chwilą jeden z panów, że jest to prawdziwym grzechem mieć tak piękne nogi i być panną z towarzystwa a nie baletnicą.

— Ten pan jest idiotą — rzucił gniewnie Antoni.

— Obraża pan mojego gościa, mój ostatni flirt!

— Zabiję go — zgrzytnął zębami Antoni, ale zamiast wstać i udać się do salonu, by niezwłocznie i bez premedytacji zamiar ten wykonać, przysunął się do Tei i wargami przyłgał do jej karczka.

Tea nie obraziła się, najwidoczniej pocałunek ów za symboliczne zabójstwo byłego flirtu uważając. Nie drgnęła nawet...

— Marmur... — pomyślał Antoni, i powtórzył eksperyment z pierwszego rozdziału, całując ją w usteczka. Ona zachowała się, jak wtedy. Padły sakramentalne słowa, że on jest pierwszym, który — a młody artysta skomponował tym razem nie rzeźbę, lecz aforyzm.

— Wszystkie klamιά! a może (bądźmy wyrozumiałymi) mają krótką pamięć.

Wszelako cel był osiągnięty, Tea niczem już nie przypomniawszy zimnego, martwego marmuru; na policzkach zakwitły rumieńce, w oczach błyszczały słońca, a śliczne ramiona otulały szyję Pigmaliona.

— ...jestem szczęśliwa...

I Pigmalion był szczęśliwy, ale jako mężczyzna doświadczony wiedział, że nie można szczęścia kontynuować w nieskończoność, zwłaszcza gdy się jest z pierwszą wizytą. Zwrócił więc uwagę Tei, że czas powrócić do salonu, bo co sobie wszyscy pomyślą.

— Co sobie pomyślą? — rozśmiała się z nonszalaną przebudzona Galatea — że kocham cię, jeżeli nie nad życie, to w każdym razie nad opinię.

Ale Pigmalionowi, który po matce odziedziczył wielkie poszanowanie opinii, takie lekceważenie ze strony Galatei nie podobało się.

— Rozumie pani, że nie idzie tu o mnie, ale nie chciałbym za nie narzącać pani.

— Więc mnie nie kochasz! — krzyknęła z pasją i zerwała się.

Pigmalion obawiał się jakiejś przykłej sceny, ale Galatea położyła rękę na klamce i otwierając drzwi do salonu, zwróciła pogodną i uśmiechniętą twarz do artysty.

— Prawda panie Pigmalionie, że Debussy jest zachwycający...

W salonie wszyscy przez dyskrety nie zauważyli nieobecności panny Tei i pana Antoniego, zresztą osoby starsze były zajęte herbatą, zaś młodsze sobą. Ale panna Tea lubiła, by ją zauważano, a zwłaszcza we własnym domu, i rzekła z wielką swobodą:

— O czym państwo mówili? Myśmy tak mile flirtowali — prawda, panie Antoni?

Antoni tak zainteresowany zarumieniał się gwałtownie, chociaż uczyńnię to powinna była raczej Tea. Nikt mu nie wziął za złe, że wyręczył w tem pannę. A Tea ciągnęła:

— Milczy pan... więc może się pan znudził na pierwszej wizycie?

— O pani! wykrztusił. Poczem wstał i pożegnał się.

Nie poszedł do domu, ale na spacer, ażeby wychodzić emocje, których zaznał przed chwilą. Tea była zachwycająca i pan Antoni zakochał się w niej bezsprzecznie. Ale niktylko nie był pewnym jej wzajemności, lecz posądzał, że ta panna obudzona przez niego kpi z swojego Pigmaliona. I to go niepokoiło. Bo o ile szło o strukturę zewnętrzną kobiety, był mistrzem, lecz o wewnętrznej nie miał żadnego pojęcia. Postanowił czekać, co będzie dalej.

Nie czekał długo, gdyż już nazajutrz otrzymał od panny Tei list, wzywający go na rendez-vous do Łazienek przy budce z piernikami. Niepomny, że o tej godzinie miał asystować na wencie pani dyrektorowej, która zamówiła u niego portrety pięcioro dzieci, pobiegł na spotkanie.

Panna czekała już i jadła miętowe „całuski“.

— Niech się pan nie tłumaczy, nie spóźniłeś się, najdroższy, tylko ja przyszedłam wcześniej, bo miło jest czekać na tego, który nadejdzie.

Pigmalion przygryzł wargi i pomyślał.

— Ona kpi, kpi najwidoczniej.

Ale Tea przytuliła się do niego miękko i serdecznie. Antoni rozczłapał się trwożnie, czy nikt nie widzi, ale o tej porze wczesnej wiosny mało było amatorów kataru.

Pomimo lirycznego charakteru, jaki nosił ten spacer, Pigmalion nie mógł na żaden sposób zorientować się w tej całej sytuacji. Poszedł więc do swojego przyjaciela literata, który to z zawodu jest znawcą duszy kobiecej, i opowiedział mu wszystko, nie opuszczając najmniej nawet na-

dających się do powtórzenia szczegółów.

— I co ty na to? — zakończył. — Nie mówię ci nazwiska tej panny, bo jestem dyskretny... Ale jak ci się podoba ta cała historia! Panna ma opinię osoby dystygowanej i skromnej, a ten jej ton i wogóle naznaczenie rendez-vous świadczy, że jest wyrafinowaną kokietką i kpi ze mnie.

Literat, znawca duszy kobiecej, uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ona nie kpi, ale kocha cię! Szaleństwa, które popełnia i popełni, są tylko dowodami i miłości i wdzięczności za to, żeś ją pierwszy obudził.

Niebardzo uspokojony, rozstał się Antoni z literatem, którego odpowiednio sprawdziły się. Tea popełniała dziesiątki szaleństw mniej i więcej szalonych, jak spacerować do odległych parków, wycieczki do drugorzędnych kinematografów w towarzystwie Pigmaliona, któremu było przykro kompromitować tę skądinąd dystygowaną pannę. Czekwała nań przed pracownią z pękiem róż, w teatrze, gdy odwiedzał ją w łożu, akcentowała swoją radość. Wogóle robiła wszystko, co było w jej mocy, ażeby nie było takiej osoby z jej otoczenia, któraby nie wiedziała, że kocha Pigmaliona.

A Pigmalion skarżył się literatowi:

— Ona mnie kocha za głośno.

— To twoja wina. Nie trzeba było całować ją w usta, a w serce. — I zachwycony własnym aforyzmem, poszedł literat tworzyć w pocie czoła poemat o ustach i sercu kobiecym. Temat ogromnie oryginalny.

A z Pigmalionem działo się coraz gorzej. Kochał Teę niekonicz-

nie świętem uczuciem, ale też nie obnosił go i nie częstował wszystkich, jak papierosami. Natomiast Tea znajdowała prawdziwą rozkosz w kompromitowaniu siebie i pragnęła za wszelką cenę (prócz jednej, oczywiście), uchodzić za kochankę Pigmaliona. Rozmaite bywają ambicje.

— Wytłómacz mi Tea, co znaczą te wszystkie szaleństwa. Jesteś dziwna, nie rozumiała. Ja lubię kobiety spokojne...

— Z marmuru — jęknęła żalostnie — więc mnie nie kochasz.

— Cóż znowu! Ubóstwiam cię...

— Tak, więc powtórz to, ale głośno.

Antoni nie chciał zadość uczynić życzeniu Tei, jako że scena miała miejsce w tramwaju, i nie widział konieczności wtajemniczenia sąsiadów i kontrolera w istotę swych uczuć.

— Powtórz — upierała się Tea.

— Ależ dziecko!

— Więc się wstydzisz. — I rzuciła się... nie z tramwaju, coby było dostojniejsze, lecz Pigmalionowi-Antonieniu na szyję. Tramwaj się nie wykołosił tylko dzięki motorniczemu, który nie widział tej sceny.

— Tak dalej być nie może — rzekł Antoni do swojego przyjaciela-literata — dziś w tramwaju rzuciła mi się na szyję, a kto wie, co jutro uczyni. Po co nieszczyśny pragnęłam ożywić ten posąg z marmuru, przeciwieństwo i miłszą i stokroć lepszą była wtedy. Gdyby mogły powrócić te czasy.

— O to ci tylko idzie — odparł znawca duszy kobiecej — ożeń się z nią, a będzie znowu z marmuru.

KONIEC.

Teodor Jeske-Choiński.

## W Teatrze Renesansu.

2

II.

W teatrze watykańskim, w Rzymie, wystawiono komedię Ludwika Ariosta p. t. *I Suppositi* (1519 r.).

Salę teatralną, mieszczącą przeszło 2.000 osób, kazał zbudować papież Leon X (Jan de'Medici, syn Wawrzyńca „Wspaniałego“).

Kurtynę i kulisy wymalowała mistrzowska ręka Rafaela. Na kurtynie odtworzyła portret Fra Mariana, ulubionego błazna papieża. Wesołek w habitcie mnicha grał z dyabłami w kości.

Amfiteatralnie ustawione ławy sięgały aż do pulapu sali. W pierwszym rzędzie panował nad krzesłami dygnitarzów wysoki fotel, przeznaczony dla papieża.

Dzwon wzywał gości na widowisko. Fala ciekawych przewalała się w korytarzach, usiłując zalać salę potokiem głów. Nie wszystkim jednak teatromanom udało się korzystać z zabawy, sam bowiem papież odgrywał w przedpokoju, prowadzącym do sali, rolę kontrolera. Otoczony swoimi młodymi kardynałami, przypatrywał się uważnie tłoczącym się gościom. Kogo nie pobłogosławił

krzyżem św., czyli, kogo nie lubił, albo nie znał, ten musiał się wyrzec wesołego wieczoru.

Lustracya skończyła się — papież kazał zamknąć drzwi — wszedł ostatni do sali i zasiadł na swoim tronie. Po jego obu stronach, w pierwszym rzędzie krzesel, zajęli miejsca: kardynałowie, nuncjusze, legaci i ambasadorowie różnych państw.

Piszczałki dały znak rozpoczęcia widowiska. Wolno podnosiła się kurtyna, odsłaniając kulisy. Przez szklą badał papież (krótkowidzem był) malowidła Rafaela. Zadowolony uśmiech przemknął po jego grubych wargach. Znał się na sztuce, lubił ją, wspierał hojną ręką artystów wszelkiego rodzaju.

Jeden z nuncjuszów papieskich stanął na scenie i zaznajomił słuchaczy z treścią komedyi. Opowiadał treść sztukę z takim humorem, objaśniał jej tendencję tak jowialnie, pomagając sobie mimiką, iż sala wybuchła pustym śmiechem. Śmiał się także Leon X, a śmiał się tak serdecznie, że jego gruby, na krótkich, słabych nogach osadzony tułów, trząsał się, jak galareta. Lubił sztukę i naukę, ale więcej od sztuki i nauki lubił wesołą zabawę, śmiech, humor, dowcip a nawet rubaszne koncepty. Był przecież nieodrodnym, ukochanym synem Wawrzyńca de' Medici Wspaniałego, „mistrza wesołego życia“, godzącego pracowitość i przebiegły rozum kupca z nadmiernym używaniem rozkoszy zmysłowych, co mu na zdrowie nie wyszło, bo zgasł przedwcześnie, w sile wieku.

Orkiestra, składająca się z piszczałek, dud, rogów, wiol, lutni i małych organków, otworzyła przedstawienie. Aktorzy grali znakomicie, z werwą i humorem, za co obsypywano ich bezustannie burzą oklasków. Koncert a capella i balety urozmaicały w międzyaktach widowisko.

Kiedy kurtyna zapadła, opuścił papież salę, zaprosiwszy swoich gości na wieczerzę. Za nim rzucił się do drzwi głodny tłum, a rzucił się z takim impetem, że zbił się w kłęb. Każdy chciał dotrzeć pierwszy do obfitego stołu Pontifexa Maxima, pusty bowiem żołądek domagał się swoich praw. Co chwila słychać było okrzyki: udusicie mnie, połamiecie mi żebra! i kłatwy: ażeby cię jasne pioruny, żeby cię Lucyper wziął na rogi piekielne i t. p.

Tłoczono się, popychano, jeden usiłował usunąć z drogi drugiego. Zwawsi przeskakiwali ławy, silniejsi pomagali sobie kulakami. Legat ferraryjski, Paolucci, runął na ziemię, jak długi.

— Baczność, moje nogi! — krzyczał.

Daremnie krzyczał, i byłby może był wrócił do Ferrary z połamanymi nogami, gdyby go szczęśliwy dla niego wypadek nie był ocalił. Jakiś gwałtownego temperamentu hiszpan palnął w kark signora Bondelmonte. Signor chwycił go za gardło i zaczęła się bójka na pięści. Przyjaciele Paolucci'ego skorzystali z tego intermezza teatralnego, wydobyli go z pod stóp walczących kogutów i postawili na nogi.

Przy stole, przy wieczerzy, zajął legat ferraryjski miejsce obok nuncjusza Lafranco. Nuncjusz kiwał głową i mówił:

— Szczycimy się kulturą Renesansu, nazywamy wszystkie inne nacye pogardliwie barbarami, a zachowujemy się, jak stado sploszonych bawołów.

\* \* \*

Nazajutrz „bawili się“ goście Leona X jeszcze weselej, niż dnia poprzedniego.

Jakiemuś tłustemu mnichowi zachciało się sławy autora. Skleciwszy komedję dla teatru papieskiego, spodziewał się sutej nagrody i pochwały. Otrzymał sutą nagrodę, ale tak brutalnie humorystycznego gatunku, iż Rzym pękał ze śmiechu przez cały tydzień.

Kiedy mnich ukazał się na scenie po odegraniu komedyi, przekonany o powodzeniu, zawołał Leon X:

— Za to, że ten tłusty osioł nudził nas całe dwie godziny swoją nędzną, głupią ramotą, niech skacze przez poduszkę!

— Niech skacze, niech skacze! — wtórował mu widzowie.

Stropiony autor podkasał habit i skoczył ku ogólnemu weselu tak niezręcznie, że padł plackiem na brzuch.

— Nawet porządnie skakać nie umie ten bałwan — drwił Leon X. — Ściągnąć z niego suknie, rozebrać go do naga i dać mu ojcowskie pokaranie.

— Ojcowskie pokaranie, ha, ha, ha — ryczało całe audytorjum.

Czterech koniuszych papieskich skoczyło na scenę i zabrało się zważo do skazańca. Niefortunny autor bronił się pięściami, nogami, rękami, walczył z wściekłością furyata: gryzł, drapał, kulakował. Gorąco było koniuszym w tej walce atletycznej, ale zmógł wkońcu mnicha. Zdarli z niego suknie, nawet koszuli i spodni nie uszanowali.

— Na plecy go, na plecy! — rozkazał papież, zanoszący się od śmiechu.

Lzy radości spływały po jego nalaney, bladej twarzy. Tak go ten

niezwykły turniej międzyaktowy bawił...

Bawił wszystkich, całą salę, trzęsącą się od śmiechu dwutysięcy widzów.

Nagi mnich nie dał za wygrane. Bez koszuli i spodni uciekał ze sceny, ale go mocne ręce koniuszych zatrzymały. Jeden z nich, najsilniejszy, zarzucił go sobie na plecy, jak worek zboża, drugi spętał mu powrozem nogi, aby nie kopały.

— Podać go nam, podać! — komenderował Leon X.

Koniuszowie zeszli ze swoim jeńcem ze sceny i obnosili go od rzędu do rzędu. Operacyę „ojcowskiego pokarania“ rozpoczął papież. Z takim rozmachem palnął płaską ręką mnicha po tylnęj części ciała, że echo klapsa rozlało się po całej sali.

— Może ci się odechce raz na zawsze sięgać po laury komedyiopisarza — drwił Leon X. — Kogo Pan Bóg nie obdarzył talentem, ten powinien milczeć. Zapisz to sobie dobrze w pamięci.

Po tej admonicyi sypały się na biednego mnicha wśród powszechnego śmiechu ze wszystkich stron razy bolesne. Niewielu z pomiędzy widzów odmówiło udziału w tej rubasznej zabawie.

Dwór papieski przywykł do tego rodzaju wybryków humoru Leona X. Wesoły i szczydry pan lubił wydrwiwać i ośmieszać swoich dostojników, dworzan, poetów, artystów i służbę. Był przecież florentczykiem, a Florencya słynęła ze „złego, kaśliwego języka“; był Medici'm, a Medyceusze kochali tylko siebie, nie znając względów dla bliźnich; był dzieckiem Renesansu, a Renesans sprzął kulturę z barbarzyńską swawolą.

Leon X zanosił się od śmiechu, zadowolony ze swojego „dowcipnego“ pomysłu; wtórowało mu jego błyskotliwe otoczenie, a biedny, cały od razów opuchły mniszyna pojękiwał z cicha... Po dokonanej operacyi „ojcowskiego pokarania“ trzeba go było wynieść na rękach z sali teatralnej. Bowiem chodzić o własnych siłach nie mógł. Pijawkę wysysały przez kilka dni z jego potłuczonego ciała ogień gorączki. Bolesna lekcyja Leona X obrzydliła mu raz na zawsze ambicje autorskie.

\* \* \*

To „zabawne“ widowisko teatralne opisał w swoim raporcie szczegółowo legat ferraryjski, Paolucci.



# Romans żywotów.

(W rocznicę zgonu księcia Józefa).

*Jego życie jest romansem dziwnym.*

*Który płynie, jak precudny śpiew,  
Czasem sielskim, chłopięco-naiwnym,  
Czasem wrzącym, jak z szampanem krew,  
Jego życie jest romansem dziwnym,  
Który płynie, jak precudny śpiew...*

*Brzmij w nim czasem pieśń egipska stara,  
Jak Zygmunta na Wawelu dzwon,  
Inarosa \*) przesuwają się mara,  
Jego boje i męczeński zgon.  
Brzmij w nim czasem pieśń egipska stara,  
Jak Zygmunta na Wawelu dzwon.*

*To znów błysnie pieśń Anakreona,  
Pełna wina i Fojbosa strzał,  
Zamigocą śnieżne kobiet tona  
I bachiczny odezwi się szal,  
To znów błysnie pieśń Anakreona,  
Pełna wina i Fojbosa strzał.*

*Periklesa przypomniać się czyni,  
Ust Aspazji ambrozyjski miód,  
Greckich świątyń gruzy i ruiny,  
Akropolu precudowny gród,  
Periklesa przypomniać się czyni,  
Ust Aspazji ambrozyjski miód.*

*Z Sokratesem Alcybiades młody  
Na rozmowach długich spędza czas,  
Młodzieńcowi składa mistrz dowody,  
Ze skrę ducha ma już nawet glaz,  
Z Sokratesem Alcybiades młody  
Na rozmowach długich spędza czas.*

*A Ksantypa, greckich czasów Ewa,  
Z męża swego nierada jest wciąż,  
Żona mędrca dąsa się i gniewa,  
Że zbyt mało zarabia jej mąż...  
Ach, Ksantypa, greckich czasów Ewa,  
Z męża swego nierada jest wciąż.*

*Stara Roma na swych wzgórzach drzemie,  
Senatorów pochrapuje ród,  
A wtem Gracchus woła: „Rzymie, Rzymie,  
Ja ci życia dam nowego wschód,  
Stara Roma na swych wzgórzach drzemie,  
Senatorów pochrapuje ród.*

*Inne czasy. Surma grzmie bojowa,  
Król Arwernów \*\*) z Rzymem toczy bój,  
Już za chwilę spaść ma jego głowa,  
A on woła: „Walczy, o ludu mój!”  
Inne czasy. Surma grzmie bojowa,  
Król Arwernów z Rzymem toczy bój.*

*I znów Egipt. Kleopatry czary  
Antoniusza wprowadzają w szal,  
Za swe winy nie unikną kary,  
Bo tak August, chytry August chciał,  
I znów Egipt. Kleopatry czary  
Antoniusza wprowadzają w szal.*

*Za wiekami płyną wieki, wieki,  
Nowsze echa teraz w pieśni brzmią,  
Gdzieś Dąbrowski, od kraju daleki,  
Jego wolność polską płaci krwią,  
Za wiekami płyną wieki, wieki,  
Nowsze echa teraz w pieśni brzmią.*

*Z ziemi włoskiej aż nad Wisły brzegi  
Legionistów dolatuje śpiew,  
Kroczą groźne polskich wojsk szeregi,  
W swych bagnietach niosąc ludu gniew,  
Z ziemi włoskiej aż nad Wisły brzegi  
Legionistów dolatuje śpiew.*

*Przykład daje wielki Bonaparte,  
Jak do zwycięstw bohaterów wieść,  
Jak swe życie na jedną kłację kartę  
I wolności wiew narodom nieść,  
Przykład daje wielki Bonaparte,  
Jak do zwycięstw bohaterów wieść.*

*Z przydługiego swego snu z Vaubanką  
W Poniatowskim znów się budzi lew,  
Rozbrat bierze z bezmyślną hulanką  
I znów idzie na Ojczyzny zew,  
Z przydługiego swego snu z Vaubanką  
W Poniatowskim znów się budzi lew.*

*Przypomina Polonne, Zieleńce,  
Przypomina pod Warszawą bój,  
Do Wolności znów wyciąga ręce,  
Do Aresa woła: „Znowum twój!”  
Przypomina Polonne, Zieleńce,  
Przypomina pod Warszawą bój...*

*Wkrótce potem na polach Raszyna  
Z Ferdynandem wiedzie krwawy spór,  
Nowy okres życia rozpoczyna,  
Pędzi wroga do Pieprzowych gór,  
Wkrótce potem na polach Raszyna  
Z Ferdynandem stacza krwawy spór*

*Napoleon zdradza jednak hasła,  
Którym wiernym poprzysięgał być,  
Cudna gwiazda jego już przygasa,  
Pryska marzeń czarodziejska nieć...  
Napoleon zdradza jednak hasła,  
Którym wiernym poprzysięgał być.*

*Przyszedł Smoleńsk, Możajsk, Borodino,  
Przyszedł Moskwy przefatalny kres,  
Krwawy odwrót, bój nad Berezyną,  
Krwą potoki, krwawo i gorzkich łez...  
Przyszedł Smoleńsk, Możajsk, Borodino,  
Przyszedł Moskwy przefatalny kres.*

\*) Inaros, wódz powstańców egipskich w epoce wojen grecko-perskich, wzięty przez zdradę do niewoli, poniósł w Perzji męczeńską śmierć na krzyżu. (Przyp. autora).

\*\*) Vercingetorix, król jednego z ludów Galii, Arwernów, ścięty został z rozkazu Cezara, gdy po długiej walce oddał mu się wreszcie do niewoli. (Przyp. autora).



*Nie o wolność, lecz o honor toczy  
Książę Józef swój ostatni bój.  
Mgłą zachodzą bohatera oczy,  
„O Aresie, ciągle jestem twój!”  
Nie o wolność, lecz o honor toczy  
Książę Józef swój ostatni bój.*

*Zdrada młczkiem czaj się i kusi,  
A tchórzostwo pcha do wrażeń stóp.  
Lecz On umrzeć lub zwyciężyć musi.  
„Niżli hańba — wolej stokroć grób!”  
Zdrada młczkiem czaj się i kusi,  
A tchórzostwo pcha do wrażeń stóp.*

*Rok trzynasty. Poranek jesienny...  
Błade słońce, błotny rzekę brzeg.  
Bohaterów legł już huf bezcenny,  
Losów Polski odwrócił się bieg.*

*Rok trzynasty. Poranek jesienny.  
Błade słońce, błotny rzekę brzeg...*

*Książę Józef do Elstery skacze,  
Węzom oszczerstw żada wreszcie kłam.  
„Ach, śmierć raczej, niż życie żebracze,  
Honor Polski Bogu tylko zdam!”  
Węzom oszczerstw żada wreszcie kłam!  
Książę Józef do Elstery skacze.*

*Jego życie jest romansem dziwnym,  
Który płynie, jak przedudny śpiew,  
Czasem sielskim, chłopięco-naiwnym,  
Czasem wrzącym, jak z szampanem krew.  
Jego życie jest romansem dziwnym,  
Który płynie, jak przedudny śpiew.*

## Niech na całym świecie wojna...

Pan Bronisław z Warszawy „zerwał się” dziś o nielada wczesnej godzinie — ósma rano, on już przy ramnej kawie i smaruje trzecią z kolei pajdę bielutkiego chleba pyłowego (o rozkoszy!) masłem na „pół rubla grubości”, według obrazowego wyrażenia drugiego „z jesienników”, pana Witolda, również z Warszawy!...

Dziedzic Halinówka, pan Tomasz, wychodzi spiesźnie do gości, już od proga sumitując się za spóźnieniem.

— Przepraszam panów, ale mnie ta bestya Kleofas obudził o całą godzinę za — — —

W tym momencie spogląda zdumiony na wiszący cyberblat, poczem sięga skwapliwie po swoją kieszonkową cybulę.

Obecny w pokoju dziesięcioletni dziedzicowie parska wesołym śmiechem: śnać zna tajemnicę?

Za przykładem dziedzica wszyscy sięgają po swoje czasomierze. Powszechna konsternacja zegarkowa.

— Ki dyabeł — — —

Przywołany na sprawę Kleofas wyjaśnia nieporozumienie.

— To pokojowa, proszę jaśnie pana, jeździła dziś do miasta i przywiozła stamtąd „dawniejszą” godzinę.

Prawda, wszak to pierwszy październik!

Pan Bronisław z Warszawy rozumie teraz, dlaczego tak łatwo było mu dziś „zerwać się” o ósmej rano!

— Bo to była już dziewiąta.

Ktoś oponuje z powagą, wyjaśniając, że właściwie ta dziewiąta to jeszcze nie jest właściwie ta godzina, która — — —

Ale nie pora na deliberacje chronometryczno-polityczno-społeczne! Wojtek podjechał pod ganek, czas wsiadać i jechać!

Cztery flinty, pies, wesoły uśmiech październikowego słońca: idylla maleńka taka...

„Pudło” idzie za pudłem! Do kota, do kur (ale już harde!), do królika, lisa, bażanta — — —

— Jest w tym roku zwierzyńka, jest! — mlaska z dumą zadowolenia dziedzic Halinówka, „poprawiając” raz po raz po gorliwych pudłach obu wywczasowiczów z Warszawy. — W przeszłym roku mało się co polowało, raub-szyce latoś nie chodzą wcale... Kapitalna polówka? Kapitalna!...

Przecież niema rajy na ziemi bez — ale.

— O, tak... — przytakują z pracowitem westchnieniem oba mieszczuchy — co łup, to... dwadzieścia dwie kopiejki!

Dobry kęs obiadu, od „starej niemieckiej” zacząwszy, kończąc na zapasie omszałego *Julien’a* — schodzi na wesołych gawędkach na ten temat żywoty...

Pomiędzy aromatycznym bigosem (z maderą!) a udkiem tłuszcikowej kaczki domowej zapada wylczenie:

Jeden zając pana Bronisława kosztuje przeciętnie około ośmiu złotych, kuropatwa pana Witolda bez mała dziesięć!

Jeden dziedzic Tomasz jest dumny, nie tylko bowiem nabił kotów bez miary po 22 kop. sztuka, ale jeszcze zaoszczędził na czysto około dwóch złotych, kładąc od jednego strzału lisa, za którego normalnie płaci się gajowemu — pięćdziesiąt kopiejek.

Sielanka myśliwska nie kończy się na żartach obiadowych (objedzeniowych, rzece pan Witold)...

Po rozrywkach dla dorosłych przychodzi kolej na igraszki podrastającej progenitury. Dziesięcioletni dziedzicowie *Tadzio faute de gibier* wyjedyniwa od ojca koncesję na wyjście z flowerem (prawdziwym!) na — orzechy w ogrodzie. Pudł tu niema! Z igraszki chłopięcej rodzi się powszechna zabawa. Mieszczuchy i domowi z trudem nadążają zbierać rozpękujące się u ich stóp włochacze, wielkie, jak najurodzwsze woltmany...

Z ogrodowego wirydarza — *carpe diem!* — hyca całe towarzystwo pospiesznie do starego lasu, na grzybki! Wczoraj spadł deszczyk, dziś słońce od rana — całe półmichy przysmaków powylażyły tam z ziemi! Rydzyk przy rydzyku, jak złoto...

— Z cebulka, buzi dać! — poucza na

zachętę rzeźki wiarus domowy, polonus sędziwy, pan Władysław...

I pierwszy rusza dziarsko na czele wyprawy.

Udała się tęgo! Aż spóźniło się bractwo na podwieczorek. Bez mała zbrodnia — w obliczu sztuki piekarskiej Halinowskiego kuchmistrza...

Ale łup przydźwigany obronił skutecznie przed trybunałem surowości gospodarskiej ministra dworu — panny Antoniny...

Na szarzeniu, przy drugiej szklance herbaty, gwarzy się tak przyjemnie... Aliści twarz kręcącego się na czele gawiedzi pomocniczej Kleofasa wyraża zaniepokojenie.

— Aha, kończmy prędko i wstawajmy od stołu, bo nie zdąży nakryć do kolacyi! — puszcza się na jowialną satyrykę jeden z jesienników...

— Ojej, znowu trzeba będzie jeść! — stęka rozpacznie powstając od stołu kolega z Warszawy.

— A jakby panowie zgadli! — śmieje się wybacząco panna Antonina. — Już prawie czas.

— Ależ, proszę pani, to dopiero szóstka?

— Na tym zegarze tak, ale u kucharza jest już siódma.

Niema apelacyi. Na wsi, i po dziś dzień, żyje się według barometru, kucharza i — ślepego Herszka...

Właśnie oto dziedzic, po krótkim targu (Herszek, choć niby ślepy, decyduje się szybko) sprzedaje mu parę tęgich kasztanów za dwa tysiące dwieście rubli. Przed wojną dał za nią niecałe sześćset...

— To świetnie, co?... — podchwytują ze stron obu olśnione twarze mieszczuchów.

— Tsieeee... — krzywi się bez mała z niezadowolaniem pan Tomasz.

...

Godzina wpół do dziewiątej (prawdziwa, nie kucharza), już dawno po kolacyi, a „reszta wieczoru” we dworze halinowskim jeszcze taka długa!...

— W „najlepszym” razie jest dopiero wpół do dziesiątej; smarkacz nie godzina! — uchwalają jednomyślnie warszawiacy...

Co robimy z tym „smarkaczem“?

Pytanie nie każe długo czekać na rozstrzygnięcie. Halinowo nie za deskami świata — i mimo wojnę, cywilizacja dopływa...

Poker czy brydż?

Kwestyę delikatnej rozważki przeciwna prostacko głos Kleofasa:

— Proszę jasnie pana, lampa już pyka.

— To dawaj nafty!

— Nafty już nie niema, proszę jasnie pana.

Los dopiero!...

Ale furda. Wywczasowicze warszawscy, jadąc w głuchy zakątek, zabrali ze sobą oświaty kaganiec! Wynoszą więc z kuferków dumne zapasy alabastrowych kolumniek, do złudzenia przy-

pominających kształtem świetnej pamięci — stearynę...

Kopci to nielitościwie, leje się bez miary, ale przecież — świeci!...

Dziedzic wnet ma tego dosyć. Do licha, jeszcze nie jest tak źle! Otwiera szafę ogniotrwałą, dobywa stamtąd pakę dorodnych „pięć na funt“, aż slinka idzie — — —

— Ach, newskie!

— Prawdziwe newskie?!...

Zachwyt generalny!...

— Panowie, jak siadamy? Kto rozda? — rozlega się po chwili.

Na kominku wesoło potrzaskuje ogień.

...Byle polska wieś spokojna.

*B. Gorceyński.*

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

# Najwyższe prawo.

POWIEŚĆ

9

Położenie było istotnie okropnem. Dora doznawała takiego uczucia, jakgdyby nagle znalazła się w wątlej łódce na rozhukanych falach pogrążonego w ciemnościach, bezbrzeżnego morza. Łódką była opieka Hamakhana, morzem to nieokreślone, pierwotne plemię, obce jej rasą i kulturą, wśród którego los jej żyć kazał.

Ale wraz z niebezpieczeństwem i trudnościami położenia zbudziła się w Dorze jej silna wola i chęć walki. Wpatrzyła się w ziemię, machinalnie kreśląc po niej palcem geometryczne figury. I zaczęła rozmyślać. Nie zadługo jej blizkie macierzyństwo stanie się dla niej tarczą; nim to nastąpi, musi pogodzić się z zupełnym odosobnieniem.

Południe minęło, a ona wciąż siedziała pogrążona w myślach. Kilkakrotnie spojrzała w utęsknieniem na stojące w kącie banjo; ale lękała się grać, żeby nie ściągnąć uwagi na swoją obecność. W chacie nie było ani jednej książki, ani skrawka papieru, ani kawałka pióra lub ołówka. Czynnemu umysłowi Dory, nawykłemu do intelektualnej pracy, czas dłużył się nieznośnie.

Około drugiej zjadła kilka jabłek i pieczonego plantana; ale do wieczora było jeszcze daleko.\* Jednakże nóż, którym krajała jabłka, nasunął jej myśl pewną: zaostrzyła mały węgielek i siadłszy pod ścianą nakreśliła na niej trudne matematyczne zadanie i poczęła je rozwiązywać. Ale, niestety, uporała się z niem dość prędko. Ziewnęła; i próbowała wyglądać przez szpary w ekranie, lecz nie zobaczyła; pozo-

stały jej jedynie mrówki za całą rozrywkę.

Wszystko przecież skończyć się musi; oznajmił jej to ruch na gościńcu powstający zwykle o zachodzie słońca i wnet potem głos Hamakhana dał się słyszeć przed chatą.

— Spodziewałem się tego — rzekł tylko, i jego wąskie, wschodnie oczy błysnęły złowrogo, gdy opowiedziała mu o szepciach i podglądaniach krajowców.

W milczeniu również wysłuchał jej skarg na dręczącą ją przez cały dzień bezczynność i ta obojętność dotknęła ją przykro. Później dopiero, wieczorem, siedząc przy odsuniętym trochę dla wpuszczenia wieczornego powietrza ekranie, zwrócił się nagłe do niej.

— Przecież kupiłem ci banjo — rzekł. Była to odpowiedź na jej słowa wypowiedziane przed godziną.

Dora zaśmiała się wesoło. Było to rzeczą ciekawą dla jej cywilizowanego umysłu, który nigdy nie miał najmniejszej trudności w wypowiedzeniu się, pomimo, iż posługiwała się teraz zawsze obcym językiem, obserwować teraz, jak Hamakhan dużo myślał i jak mało mówił.

— Tak; to prawda — odrzekła — i to wielka dla mnie rozrywka. Ale dziś nie mogłam grać, bojąc się zważyć tu kogo. Nie kłopotcz się o to, mój najdroższy; jest mi zupełnie dobrze tak, jak jest.

Na tem urwała się rozmowa; ale następnego dnia Hamakhan, wróciwszy do domu, przyniósł jej kilka krajowych książek i trochę papieru do pisania.

— Będziesz się miała czym zabawić — rzekł. — Kupiłem to dla ciebie wracając do domu w bazarze.

Zmęczone malowało się w jego twarzy i postawie. Ręka, w której trzymał książki, była pokryta grubą warstwą pyłu, wydobywającego się z palmowych włókien, który będąc nadzwyczaj subtelnym, wciska się w pory i zatyka je. Nie dość na tem, musiał się zaciąć nożem przy robocie i miał na ręku długą, głęboką rysę.

Wszystkie te drobne szczegóły nie uszły uwagi Dory i wzruszyły ją. Pracował cały dzień w pocie czoła, żeby zarobić dwie rupije i jedną z nich wydał bez wahania na książki dla niej. Zmęczony, głodny, spragniony nie zapomniał o niej.

Dora wzięła książki i podziękowała mu. Czuliła się upokorzona i w porównaniu z nim samolubną.

Hamakhana ucieszyła widocznie jej podzięka. Odwinął turban i wydobyl zawiązane w rożek kilka trzcinowych piór i buteleczkę atramentu.

— Teraz możesz pisać, jeżeli zechcesz — rzekł — a gdy przeczytasz te książki, przyniosę ci inne. Gdybyś potrzebowała jakiej w twoim własnym języku, to może uda mi się dostać ją w bazarze.

Tak; on kochał prawdziwie tę białą kobietę i pragnął, żeby była szczęśliwą.

Dnie mijały za dniami — te długie, palące, spokojne, indyjskie dni, wypełniane jedynie monotonią upału i słońca — i Dora z rozkazu Hamakhana nie przestąpiła nigdy progu chaty. Siedziała w ciemnym wnętrzu, pisząc lub czytając, grając lub myśląc, odcięta zupełnie od zewnętrznego świata. Jeżeli kto przyszedł wieczorem do Hamakhana, kryła się za wewnętrzne przepierzenie, czując całą słuszność tej ostrożności. Hamakhan był dla niej zawsze jednako- wym: pogodnym, kłiwym i szczodrym; nieodmiennie przynosił jej zawsze coś z bazaru; to książkę, to sznurek szklanych paciorków, to jaką inną drobnostkę.

Czasem leżąc na ziemi w sennie ciszy długiego popołudnia i patrząc w niski dach, Dora zadawała sobie pytanie: „Czy ja naprawdę jestem tą Dorą Wilson, która mieszkała w wytwornej bungli, nosiła suknie z Paryża i bywała na obiadach u namiestnika?“

Odkąd uciekła z Jungpuru, nie widziała ani jednej białej twarzy, nie słyszała ani jednego słowa, wymówionego po angielsku.

Napisała raz do siostry, jak jej to przyrzekła, i Hamakhan zaniósł go do oddalonej znacznie od Brishamgura miejsciny i tam oddał na pocztę.

List był długi; napisany po hindu-  
stańsku, żeby Hamakhan mógł wie-  
dzieć wszystko, co w nim mówiła  
siostrze. Jeden z jego ustępów  
brzmiał, jak następuje:

„Jestem zupełnie szczęśliwą i na  
jedną chwilę nie pożałowałam tego,  
co uczyniłam. Hama jest tak miły  
i słodki w pożyciu, jak sobie wyo-  
brazić trudno“.

Oczywiście, nie podała adresu i  
nie mogła spodziewać się żadnej od-  
powiedzi. Dawne życie odpadło od  
niej zupełnie: nikt z rodziny ani z eu-  
ropejczyków wogóle nie mógł się do  
niej odezwać; środowisko krajowe  
wciągnęło ją w siebie i pochłonęło  
całkowicie. Ale mimo to była szczę-  
śliwą; i każdemu, kto by ją był o to  
spytał, gdy leżała pociemku za ekra-  
nem; z ręką na sercu byłaby odrze-  
kla: „Tak; jestem szczęśliwą“.

Nadmiernie gorący klimat, ciężka,  
dusznna atmosfera, brak zewną-  
trznych i umysłowych podnieć po-  
grzążały ją stopniowo w stan jakiegoś  
fizycznego odrętwienia, które  
miało swój urok. Całami dniami le-  
żała, oczekując z namiętną tęsknotą  
powrotu Hamakhana, który napeł-  
niał chatę swym wesołym, świeżym  
śmiechem i poprostu opromieniał ją  
swoją urodą.

Życiowe widnokreśli Dory ogni-  
skowały się obecnie w gościńcu wio-  
dącym do miasta, zarobkach Ha-  
makhana i cenach ryżu, daktyli i cu-  
kru w bazarze i miejscowych pło-  
teczkach, których wysłuchiwała sie-  
dząc za przepierzeniem, gdy kto z  
pathańczyków zajął wieczorem do  
ich chaty, ale nowość tego wszyst-  
kiego bawiła ją. Pojęcia i przesady  
europejskie złożyła na strychu swej  
umysłowości i bez zastrzeżeń przyję-  
ła tę nową formę życia.

A miała w niem dwa ważne za-  
dania: po pierwsze, uszczęśliwić Ha-  
makhana w pożyciu, tak, aby nigdy  
nie pożałował, że pojął angielską za  
żonę; po drugie kształcić go stopnio-  
wo i przygotowywać do życia, jakie  
ich czekało, gdy ona skończy lat  
dwadzieścia jeden.

Hamakhan nie wiedział nic do-  
tychczas o majątku, jakim Dora roz-  
porządzać miała w przyszłości. Prac-  
cował gorliwie i pogodnie na utrzy-  
manie ich obojga i uczył się, czego  
go uczyła, z nawskroś azyatycką u-  
ległością.

I Dora kochała go z każdym  
dnieniem bardziej. Jeden jego słonecz-  
ny uśmiech wynagradzał jej sowiec  
jednostajność odosobnienia, w jakim  
żyła. Co rano pathańczyk budził się  
o świecie, i bez żadnego posiłku, jak  
już był do tego przyzwyczajony, za-  
rzęcał na ramię pęk daktylowych li-  
ści i szedł do miasta wyplatać maty.

Ale co wieczór o zachodzie słoń-  
ca powracał uśmiechnięty i łagodny.  
Opryskliwość i zły humor były obce  
temu słonecznemu, wschodniemu cha-  
rakterowi. Czasem, gdy chwyciła  
go febra, na twarzy jego wypiętno-  
wywał się wyraz cierpliwego znęka-  
nia, i stawał się rozdartym i apa-  
tycznym; ale dla Dory miał zawsze  
uśmiech i pocałunek. O ile tylko za-  
zdrość w nim nie zagrała, trudno by-  
ło znaleźć miłsze, słodsze i delikat-  
niejsze usposobienie w pożyciu.

— Czyś szczęśliwą, życie mego  
serca? — pytał ją często, ujmując jej  
głowę w obie dłonie i patrząc w jej  
błękitne oczy, a ona z zapalem, któ-  
ry wywoływał radosny uśmiech na  
jego usta, odpowiadała:

— Tak, Hama. Jestem szczę-  
śliwą!

I nawzajem, tuląc się do niego i  
tonąc spojrzeniem w tej cudnej, mło-  
dzieńczej twarzy, w której duma i  
powaga tak harmoniicznie zlewały się  
z wiośniwym wdziękiem, mówiła:

— Ty nawet wiedzieć nie mo-  
żesz, jak ja cię kocham i uwielbiam!  
Jak tęsknię za tobą, gdy cię niema;  
jak pragnęłabym, żebyśmy mogli  
stać się jedną istotą i nigdy się nie  
rozłączać!

A on przyciskał ją do piersi i  
mówił, że wierzy jej z całego serca.  
I w istocie; nikt nie mógłby wątpić  
w prawdę jej słów, takim ogniem  
szczerości płonęły jej błękitne oczy  
i taką bezdnią uczucia tchnęła jej  
śliczna twarzyczka. A miłość ta nie  
sprawiała mu nigdy przesytu; pod-  
niecała raczej jego pragnienia.

Hamakhan nigdy w życiu nie  
był tak szczęśliwy, jak z tą kobietą,  
pod każdym względem przewyższają-  
cą wszystkich, z którymi dotąd ob-  
cował, a która umiała przypodoby-  
wać mu się i pochlebiać tysiącnymi  
sposobami i był jej, ponad wszelkie  
spodziewanie, bezwzględnie wier-  
nym.

Pathańczycy są z natury poliga-  
mami; ale dla Hamakhana po za Do-  
rą nie istniała żadna kobieta. Jej tyl-  
ko pożądał i o niej tylko wyłącznie  
myślał.

Ona wiedząc o tem starała się  
zawsze odwzajemniać jego zapale,  
choć teraz, w miarę jak była coraz  
bliższą rozwiązaniu, zdrowie jej po-  
częło szwankować i wesołość nikła,  
i często zostawszy samą w chacie,  
godzinami całami płakała z czysto fi-  
zycznego osłabienia. Czuliła teraz,  
jak bardzo osamotnioną i bez odpo-  
wiedniej pomocy znaleźć się w  
chwili oczekującego ją przejścia, i  
bywała w nocy budziła się nieraz,  
zdjęta paniczną trwogą.

Wtedy budziła także Hamakha-  
na i tuląc się do niego, zwierzała mu

się ze swoich obaw i przeczuć. A on  
nigdy nie zniecierpliwiał się na nią,  
lecz całując jej wilgotne powieki i  
pieszcząc starał się ją pocieszyć i  
uspokoić, obiecując, że w owej kry-  
tycznej chwili nie odstąpi jej i czu-  
wać nad nią będzie bezustannie.

Sprzeciwiało się to krańcowo  
muzulmańskim przesądom, ale Ha-  
makhan przygotowywał się do przy-  
jęcia chrystyanizmu i zobojętniał  
już zupełnie dla swojej wiary.

I Dora, ukojona jego tkliwością,  
usypiała znów spokojnie na tej pier-  
si tak ponad wszystko ukochanej, bo  
wszystkiem jej na świecie będącej.

## ROZDZIAŁ IV.

### Wschód jest wschodem.

Wieczór zapadał nad bazarem,  
gdzie przekupnie słodczy, kokosów  
i daktyli siedzieli spokojnie za okrą-  
głymi tacami, na których poukładane  
były ich towary, więcej gawędząc,  
niż sprzedając; a białe ubrane gro-  
madki krajowców krążyły wśród  
kramów pod gołym niebem, również  
bardziej dla zabicia czasu, niż w chę-  
ci kupna. Niektórzy, podpierając  
ściany sklepów, palili, zaciągając się  
dymem w milczeniu.

Pośrodku bazaru znajdował się  
nizki, otwarty kram, należący do  
Chandra Dassa. Dwa płytkie, nie-  
równe kamienne stopnie wiodły do  
ciemnawego wnętrza, zarzuconego  
wielkiego rodzaju zasłonami, ser-  
wetami i opończami na sofy, począ-  
wszy od taniach bawełnianych a koń-  
cząc na jedwabnych o bogatych haf-  
tach.

Sam Chandra zwykł był siady-  
wać wieczorami na zakurzonych  
stopniach, wsłuchując się w podobny  
do brzęczenia pszczoł gwar prowa-  
dzonych dokoła rozmów, i od czasu  
do czasu, gdy odwoływano się do je-  
go zdania, poważnie kiwał głową.

Tego wieczora księżyc nie by-  
ło, ale gościniec po obu stronach ja-  
sno był oświetlony olejnymi lampami,  
wiszącymi to nazewnątrz, to we-  
wnątrz pootwieranych kramów, i w  
świecie tem nurzały się zwoje kolo-  
rowych materyj w sklepach par-  
sów\*), błyszczące stopy daktyli na  
tacach i postacie krajowców, siedzą-  
cych na niskich stopniach przed do-  
mami i gwarzących wesoło.

Wszyscy oni jednak zaniechali  
rozmów i pociągali ciekawie szy-  
je, ujrawszy idącą środkiem gościń-  
ca gromadkę wyplataczy mat, a po-

\*) Parsowie, dawniej zawni Gwe-  
brami, są to ci persowie, którzy po zbu-  
rzeniu państwa Sasanidów pozostali  
wiernymi religii Zoroasta, (Przyp. tłum.).

między nią; Hamakhan z Dora. Dora tak była spragniona świeżego powietrza, że nalegała koniecznie i Hamakhan, acz niechętnie, ustąpił. Chodziła z nim już przedtem kilkakrotnie do bazaru, ale zawsze zakwefiona.

Tego wieczora jednak Dora gorączkowo odrzuciła zasłonę. Dusila się poprostu.

— Muszę koniecznie odetchnąć świeżym powietrzem — rzekła, a w raz „muszę“ tak rzadko z ust jej wychodził, że Hamakhan przestraszony jej wyglądem nie śmiał się sprzeciwić.

To zamknięte życie, jakie od kilku miesięcy wiodła, zmieniło ją bardzo. Twarzyczka jej pobladła, jak listek białej róży, oczy zapadły i podkrzażyły się głęboko.

Była bardzo szczęśliwą przez tych kilka miesięcy, ale samo szczęście nie może zastąpić organizmowi, przyzwyczajonemu do ruchu, światła i powietrza, tych koniecznych warunków zdrowia.

Gdy Dora wyszła z chaty z Hamakhanem, wyglądała jak kobieta, która żyła kosztem fizyczności swojej i przeciwko jej prawom. Chód jej i postać straciły dawną dumę i swobodę ruchów. Sprawiała bardziej wrażenie uległej mużulmanki, niż niezależnej angielski. Było coś w opuszczeniu jej ciężkich powiek, w potulnym wygięciu bladych ust, co piętnowało ją jako kobietę, która dobrowolnie schyliła kark w jarzmo wszechpotężnej namiętności.

Świeże powietrze przelotnym rumieńcem zabarwiło jej bledziuchne lica i gdy szła, krajowcy przeprowadzali ją roziskrzonomą oczyma. Hamakhan zauważył te ukradkowe spojrzenia i długo drżąc, ażazdrość zbudziła się w jego piersi.

Dora zauważyła, że twarz mu posępnieje, i podniosła rękę do zasłony.

— Jeżeli sobie życzysz — szepnęła, czyniąc taki ruch, jakgdyby ją chciała spuścić na twarz.

— Nie, nie — odpowiedział Hamakhan wspaniałomyślnie i serdecznie. — Jestem przecież z tobą.

Mijali właśnie gromadkę krajowców, których ciekawym oczom nie uszedł tkliwy wyraz europejskiej twarzy, zwróconej ku Hamakhanowi. Jeden z mahometanów rzucił szczęśliwemu rodakowi spojrzenie wścieklej zazdrości i rzekł głośno z szyderskim uśmiechem, zwracając się do towarzyszy:

— Także godny wyznawca Pro-roka, który sobie bierze europejską szargulę.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## Na rubieży dwóch światów...

Rzadko się zdarza, że człowiek czynu chwytą za pióro. Gdy chwytą, to musi to być wskazówka, iż szuka praktycznego ujęcia dla nagromadzonych doświadczeń życiowych. Rzadziej się jednak zdarza, że człowiek czynu w pisaniu uzewnętrznia pracę wewnętrzną ducha, starając się wskazać na te głębokie filozoficzne przesłanki, które skłaniają go do tych a nie innych czynów czy sądów. Wtedy zachodzi bardzo interesująca wymiana i kontrola myśli teoretycznej przez działanie praktyczne. Pojęcie staje się probierzem czynu, kamieniem doświadczalnym rzeczywistości, a działanie tworzy pojęcia na miarę swojej własnej energii, możliwości realizacji i umiejętności życia.

Książki takie są nad wyraz interesujące. Bo cóż może być bardziej interesującego nad myśli człowieka życia? Myśli najbardziej żywotne a pochodzące od kontemplatorów zawsze są jednostronne. Myśl człowieka czynu jest zwarta i krótka, jak rozkaz. Definicję wypracowało życie, doświadczenie; jest więc ona konkretna, jasna i zapładniająca.

Kto chce przeczytać taką książkę o jasnych, zwartych a zapładniających myślach, niech przeczyta pracę Gerharda von Mutiusa p. t. „Die drei Reiche“, który zajmuje obecnie w Warszawie jedno z wyższych stanowisk w administracji okupacji niemieckiej. Trzy dziedziny rządzą istnieniem ludzkim: przyroda, myśl i działanie. Na tłach więc tego rodzaju rozważań Mutius prowadzi dociekania się swoje na rubieży dwóch światów: czystej kontemplacji i rozumnego działania. Zwalcza wszystkie przesady społeczne o konserwatywnym czy liberalnym na świat poglądzie. Względność rzeczy jest oczywista dla wszystkich i tylko wychowanie, interesy oraz umiejętność działania prowadzą człowieka na tę lub inną stronę. Partijność określa właściwie charakter, typ człowieka, jego umiejętność pracy czy też zdolność marzeń. Książka Mutiusa składa się z dziesięciu rozpraw: Ludzkość, Człowiek i Przyroda, Konserwatywny i postępowy, Bogactwo i Nędza, Państwo i Kościół, Myśli o sztuce, Wartość i Rzeczywistość. Ku idei przyrody, Czyn i Trzecia dziedzina. Już wyliczenie samych tytułów wskazuje, że Mutius w rozmyślaniach swoich przetrwał wszystkie te dziedziny życia, które zamykają się w możliwości społecznego działania. Chodziło o znalezienie busoli kierowniczej, by z rubieży dwóch światów jednako niezłomnie patrzeć okiem na walkę partii, walkę poglądów na świat i walkę ideałów praktycznych chwili bieżącej.

P. Gerhard von Mutius, jako prawy syn idealizmu niemieckiego, odnajduje w zdrowych ziarnach tradycji filozoficznej niemieckiej taki panujący, porządkujący punkt wyjścia i widzenia rzeczywistości.

I rzecz charakterystyczna. P. von Mutius mówi: „Błędne jest twierdzenie, że idea ludzkości tkwi w ludziach najwyższego typu, albowiem wielkiego człowieka bez grupy nie można sobie wyobrazić“. A z drugiej znów strony p. von Mutius wywodzi, że „wysnuwanie powszechnych wartości nie oznacza uznania wszystkich na ziemi żyjących ludzi. Wyłączają się wszyscy ci, którym brak zdolności wchłaniania walorów kulturalnych, a zatem nie tylko wogóle cała gromada niższej stojących ludów, ale także wysoki procent jednostek z pośród przewodniczących kulturalnie narodów. A zatem jedynie w narodach przewodniczących i w wybitnym znaczeniu tylko w przewodniczących mężach tych narodów istnieć może synteza ludzkich wartości kulturalnych, pod postacią której ujawnia nam się tutaj idea ludzkości. Takie arystokratyczne i takie wyłączone jest pojęcie ludzkości“.

Od sztuki p. Mutius żąda optymizmu i siły twórczej, siły zapładniającej naród. Bo „walka i wojna jest nieodzownym środkiem obyczajowej odnowy dla człowieka“.

Książka p. Mutiusa tę obyczajową odnowę człowieka postawiła sobie za zadanie. Uważa przytem, że państwo, jako organizacja, ułatwia każdej jednostce tę możną walkę i pracę nad samoulepszeniem, wydoskonaleniem i uszlachetnieniem. Czyż należy się zrzec dóbr doczesnych? Gerhard von Mutius stawia ideał trzeźwej rzeczywistości za wzór dla człowieka: pieniądź nie daje szczęścia, ale należy go zdobyć, gdyż pieniądź jest jedną z sił twórczych życia i może jednostce zapewnić możność rozszerzenia horyzontów duchowych.

Książka na rubieży światów stojąca, pełna obserwacji i podpatrzeń, dla ludzi światłych a ciekawych życia jest nieludajkim dokumentem: spowiada człowieka i budować pragnie jego władną psychę.

Kto więc chce spojrzeć z rubieży tych światów w wir poszukiwań moralnych myśli praktycznej niemieckiej — niech dzieło Ger. von Mutiusa przeczyta.

Znajdzie w niem niejedną myśl jędrną i zdrową. A co najważniejsza, nauczy się może tak samą rozkazodawczo i optymistycznie wolę swoją pobudzać do coraz cięższych i pożądaných poczynań. I oby poczynania te dla narodu naszego niósły zawsze owoc bujny. Zapamiętajmy też sobie myśl o państwie własnem, jako instytucji ułatwiającej każdemu człowiekowi drogę wwyż, drogę w krainę ideału i szczęścia.

Dr. Z. M.

